



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Nauczyciele sieroty


wolnelektury.pl



FUNDACJA
nowoczesna
Polska

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Nauczyciele sieroty

(BAJKA)

I

Szedł sobie raz chłopczyk ubogi drogą, nie wiedząc, dokąd idzie; bo i dzieci i ludzie często tak chodzą. Był nieborak sierotą, nie miał nikogo, coby mu gościniec pokazał co najkrótszy i najpewniejszy do miasteczka; a trzeba mu było tam iść, bo roboty szukał i schronienia. Ostatnia, najdroższa i jedyna matka mu była zmarła przed tygodniem. Pochowali ją na cmentarzu we wsi, do której się, żebrząc jałmużny, przywlokła. Kilka ubogich, jak ona, kobiet poszły za biedną trumienką; pogrzeb był z łaski, więc bardzo skromny i cichy.

Chłopczyk szedł za matki zwłokami, aż do czarnej jamy, wykopanej w ziemi; widział, jak spuścili trumnę, jak ją co najprędzej zasypiano; a gdy poszeptawszy kupka ludzi się rozeszła, usiadł na mogile i do nocy tam przeplakał. O mroku strach mu się zrobiło ciemności i pustki; pobiegł płacząc do wioski, ale tu wszystkie drzwi zastał zamknięte. Przytulił się do ściany i znużony usnął.

Nazajutrz był głodny; myślał, że, gdy zapuka do pierwszej z brzegu chaty, dadzą mu może chleba kawałek. Zapukał więc, ale wyszła zrzędlawa kobieta; spytała gniewnie, nie umiał nic odpowiedzieć; rozplakał się i odpędziła go. Siedział więc i płakał. Nadszedł pastuch, który trzodę ze wsi wypędzał w pole, staruszek o kiju, i począł go pytać; dziecię mu ledwie coś o sobie odpowiedzieć umiało. Domyślił się wszakże biedny głodu, dobył z torby chleba i dał go spory kawał chłopięciu.

— Słuchaj — rzekł do niego — wzięłby cię ja do poganiania ze mną trzody, bo mi często staremu trudno sobie z trykającymi cielętą dać radę, ale się zwalasz pastuchem. Lepiej ci przecierpieć trochę, a innej pracy szukać... Oto w tej stronie leży miasteczko. O tym chleba kawałek dojdiesz do niego, tam robotę znajdziesz, abys darmo nie żebrał... a Bóg uczyni resztę... Nad sierotą Bóg z kaletą...

Trzoda ryczała, kręcąc się po ulicy; pastuch podniósł kij, krzyknął i pociągnął dalej. Chłopak przywykł był słuchać i posłuchał starego, począł jeść twardy chleb czarny i powlókł się gościńcem. Gościniec przechodził ponad cmentarzem — zaszedł więc jeszcze na grób matki i popłakał, pocałował ziemię i powlókł się dalej. Pastuch mu jeszcze raz, zdaleka, z łąki, kijem pokazał gościniec...

Otóż jak się to stało, że chłopczyk sierota, sam jeden szedł drogą... i płakał trochę...

Ale gościniec, z początku szeroki, począł się kręcić i zmniejszać, potem zeszy się z nim inne drogi z prawej i z lewej strony, potem było ich kilka i już nie wiedzieć było jak trafić, aby się nie zbłąkać, idąc do miasteczka... a mieściny nie widać było. Słońce dopiekało i mogło być około południa. Drogą to się przemknął jeździec, to się przesunęła bryczka, to się przewlókł wóz chłopski, a nikt na sierotę nie zważał, a niebożątko też i pytać nie śmiało... Nogi w piasku ustawać zaczęły... strach ogarniał...

Siadłszy pod sosną na kamieniu, spuścił głowę, i znowu na lzy się zbierało... Wtem świergotanie ptaszyny go zbudziło: dokoła niego latał szary jakiś wróbel, czy pliszka, i kręcił się i uwijał, jakoś tak wesoło, tak żwawo, że mimowolnie sierota podniósł głowę i począł mu się przyglądać. Ptasek — to się spuszczał ku ziemi, chwycił jakąś słomeczkę, pruszynek, puszek i z tą zdobyczą w dziobku śpieszył na gałąź sosnową, a w liściach jej zniknął — to znów puszczał się dalej i siadał nad maleńką wody kałużą i popijał, to w piasku się grzebał, obsypywał nim, skrzydełkami trzepał, to, w powietrze się wzbiwszy, śpiewał wesołutko... Gdy mu z oczów znikł ptasek szary, chłopcu się aż smutno zrobiło — bardzo był ciekawy życia ptaszego... Aż przybliżywszy się, zobaczył gniazdko

i swojego znajomego, który sam sobie robił porządek, gałązki układał, nóżkami i dziobem wyściełał i osłaniał... Robota była ciekawa i pośpieszna i bardzo piękna... gniazdko poczęte rosło w oczach, zaokrąglalo się, ubierało... A gdy chłopak się zbliżył ostrożnie, postrzegł z zadziwieniem, że ptaszek, co się tak zwijał koło swojej roboty, wcale się go nie obawiał...

Ludzie, wyjąwszy pastucha, jakoś mu niewiele pomogli; biedne chłopię pomyślało sobie, że nie szkodziłoby się takiego mądrego ptaszka poradzić. Zdjął więc czapczynę, uklonił się grzecznie bardzo i rzekł cicho:

— Szanowny wróblu dobrodzieju, jeżeli uchybiam w tytule, proszę mi przebaczyć, gdyż mały jestem, niewiele widziałem świata i omylić się mogę; zatem przepraszam, bo może się inaczej zowiesz i wyższy jaki urząd piastujesz...

— Nie, nie, jestem prosty wróbel — rzekł ptak, siadając na brzegu gniazdka — czego chcesz, człowieczyno?

— Rady...

Wróbel pokiwał główką.

— A jakiej?

— Co mam robić z sobą, matka mnie odumarła, jestem sam jeden, ludzie na mnie nie zważają, nie mam się kogo spytać, co począć?

— A przypatrzylesz się ty, co ja robię? — rzekł wróbel.

— Trochę, zdaleka.

— Ja także — mówił ptaszek, świergocząc — byłem sierotą; matkę mi jastrząb zabił, kiedym jeszcze był ledwo podlotkiem; chowałem się długo w gęstwinie, żyjąc muszkami i robaczkami, aż trochę w pierze porosłem... Radził mi jeden wróbel, abym szedł sobie gdzie pod strzechę do miasta, kędy więcej ludzi, jadła porozsypywanego i wróblów braciszków, ale szczęście, że sobie matki radę przypomniał, i zostałem na wsi...

— A ja idę do miasteczka — rzekł chłopak.

— Otóżbym ci nie radził — szeptał stary ptaszek.

— A to czemu, kiedy tam żyć będzie łatwiej?

— Zaraz ci powiem, co mi stary opalony wróbel, który z miasta przyleciał tu, mówił i dlaczego ja tam się nie umieściłem... Tam w miasteczku życie łatwiejsze, ale i niebezpieczeństwo większe... Gniazda usłać niema gdzie, czyha mnóstwo swawolnych chłopców, i wróbel się oducza od pracy, bo mu o jadło łatwo...

— A cóż to jest praca? — zapytał chłopak.

— Praca to jest prawo Tego, co i wróbla stworzył i człowieka, wszelkiemu stworzeniu dane.

— A dlaczegoż ja o tem nie wiem?

— Boś jeszcze mały...

— Naucze mnie, co to jest praca?

Wróbel samouczek począł główką kiwać, musnął się dziobkiem parę razy po skrzydłach i zdawał się namyślać.

— Jak to tobie powiedzieć? — mruczał — jak to tobie powiedzieć?... Wszystko pracuje na świecie... praca to życie, mój mały; potrzeba coś robić, aby żyć, aby się czegoś nauczyć, aby do czegoś dojść, a im więcej kto pracuje, tem mu jest lepiej...

— Praca to więc znaczy robota — rzekł chłopiec. — Ale robota męczy?

— Jeszcze też gorzej męczy próżnowanie — mówił wróbel.

— Zresztą co ja będę robił — spytał sierota — kiedy nic nie umiem?

— A patrzałeś ty na mnie? — odpowiedział ptaszek.

— O! i długo i uważnie: nosiłeś kruszynki i kąpałeś się w piasku.

— No! a gdybyś ty czego nazbierał i poniósł, możeby się znalazł kto, coby tego potrzebował i dałby ci chleba kawałek... ten chleb byłby już nie wyżebrany, ale zarobiony, byłby twój własny.

Chłopiec się zadumał i zdawało mu się, że, jak na wróbla, takiego szarego, niepozornego, ptaszek był bardzo mądry... jakoś mu się to nienaturalnem widziało. Wtem coś zaszeleściło ponad drzewem — wróbel się schował co najprędzej, a chłopak zobaczył tylko małego jastrzębia, który krążył, rozłożywszy skrzydła, i zdawał się czegoś upatrywać pod sobą.

Nagle padł, jak kula, i zatrzepotał się żywo. Dzieciak podbiegł przez ciekawość, spłoszył ptaka i zobaczył pokrwawioną ptaszę, które w brózdzie konało...

Żał mu się go zrobiło.

Jeszcze nad niem stał, gdy ogromny strzał się rozległ w powietrzu i jastrząb padł na ziemię.

Obejrzał się z przestrachem i dostrzegł niedaleko człowieka, lichy odzianego, z którego strzelby resztką dymu wylatywała.

Człowiek ten miał wyraz dziki i ponury, na ustach jego krążył śmiech bóleści, a chłopakowi zdawało się, że usłyszał z nich wychodzące wyrazy:

— Dobrze ci tak, po co wróble dusisz.

Ciekawy, co się z jastrzębiem stało, pobiegł chłopak na pole, gdzie go widział upadającym. Na brzegu roweczka leżał jastrząb raniony, krew z niego ciekła, ale gdy się chłopiec zbliżył do niego, dziób nastawił, szpony podniósł i zabierał się bronić. Nie wiedział, jak do niego przystąpić, gdy przypadkiem, rzuciwszy okiem na człowieka, który wystrzelił, rzecz zobaczył nową. Mężczyzna barczysty schwycił za kark strzelca, trzymał go za kołnierz jedną, a drugą ręką wyrывał mu broń; niedawno bezpieczny jeszcze i śmiejący się człowiek był blady i przerażony. Sierota, już nie myśląc o konającym jastrzębiu, ani o ranionym wróble, cały się zwrócił ku ludziom, ale ci, szamocząc się, z oczów mu znikli za lasem.

Tak wiele jakoś razem rzeczy nowych dla niego obito się o jego oczy i uszy, że sierota przysiadł na ziemi, aby to wszystko rozważyć i zrozumieć. W polu było cicho, kilka chmur przebiegało po niebie, przysłaniając słońce, które dopiekało. Rozbierając wszystko, co mu się przytrafiło, sierota naprzód zapamiętał wróbla naukę, że pracować potrzeba; potem z historii jastrzębia i ludzi wyciągnął sobie ten pewnik, że wiele jest i złych ptaków i niedobrych istot na ziemi, których się wystrzegać potrzeba. Położenie jego wydało mu się straszne, ale obawiać się i płakać na nic się zdało. Obaczył znowu wróbla, który wyleciał z gniazda, nosił słomki i w piasku się trzepotał.

— Czy ci nie strach? — zapytał.

— A co pomoże, gdybym się lękał? — wesoło odfurknął wróbel — swoje robić potrzeba, a o biedzie nie myśleć, boć się od niej wykręca, przysiadłszy cicho w gnieździe. Juściż kiedyś, jastrząb mnie zje, albo człowiek zastrzeli, albo wielka sowa zadziobię śpiącego w nocy, ale nim do tego przyjdzie, śpiewam sobie i pracuję.

— Jaki to mądry wróbel! — westchnął chłopak zazdroszcząc mu — taki mały, niepozorny, a taki rozumny, trzeba go słuchać.

Wstał tedy i szedł, gdy na gałęzi zobaczył siedzącego bardzo ładnego ptaka z czubkiem, dużego wzrostu, który piórka muskał. Wszedłszy już w znajomość z ptakami, miał sobie za obowiązek i temu się pokłonić, ale ptaszę niewiele na niego zważało; pomiarkował, że to być musiał jakiś znakomity jegomość, kiedy był taki niegrzeczny.

Stanął jednak naprzeciw niego, aby mu się dobrze przypatrzeć, a że wiatr powiewał od gałęzi ku niemu, poczuł zapach niebardzo miły, który zdawał się pochodzić od ptaka. Był to śmierdzący dudek, ale wydawał się pański, z czubem na głowie i strasznie miał minę dumną.

— Dzień dobry jegomości — rzekł chłopak.

— Mógłbyś mię trochę lepiej nazwać, niż jegomością — odparł dudek, napuszając się. — Co to? ty mnie masz za głupią srokę, czy za ladajakiego majstra dzięcioła, który cały dzień w drzewach dłubie i nos sobie psuje? Przecie powinienes wiedzieć, że jestem dudek i że mój prapradziadek był dudek, a moja praprababka pochodziła od najpiękniejszego dudka, jakiego świat widział.

— O tem nie wiedziałem — rzekł chłopiec — przepraszam, ale czy nie raczysz, dudku wielmożny...

— Jaśnie, jaśnie wielmożny — przerwał dudek.

— No więc jaśnie — mówił sierota — czy nie raczysz mi pokazać drogi do miasteczka, bom ja, włócząc się po krzakach, zgubił, a boję się, żeby mnie noc nie zastała w polu.

— Co mnie tam drogi obchodzi! — krzyknął dudek — mnie droga wszędzie, gdzie lecieć chcę a gawędzić z lada żebrakiem, jak ty, nie lubię, bywaj zdrów.

To rzekłszy, dudek głową pokręcił i poleciał. Ale gdy już miał odchodzić niegrzecznością jego oburzony chłopak, coś mu żółtego mignęło przed oczyma, i na gałęzi zjawiła

się wiewiórka, z orzeszkami w łapkach. Nie była to wcale pora na orzechy, mocno się chłopak zdziwił, skąd ona dostać go mogła.

Obawiając się, aby wiewiórki nie obrazić, a chcąc się koniecznie od niej sekretu jej dowiedzieć, chłopiec zdjął czapkę, i począł:

— Jaśnie oświecona wiewiórko!

Ta podniosła główkę, trzymając orzeszek w łapkach, i zaśmiała się wesoło.

— Głupi chłopcze — rzekła — dlaczego ty mnie tak nazywasz?

— A, bo mnie dudek rozumu nauczył — odparł sierota — obraził się, żem go tylko jegomością z początku nazywał, obawiałem się uchybić.

— A czego ty tam chcesz?

— Drogę zgubił i nie wiem, co z sobą robić? Ale, moja dobrodziejko wiewiórko, naucz ty mnie, proszę, skąd wzięłaś orzeszek, kiedy one jeszcze niedojrzałe?

— Jeszcze zeszloroczny — rzekła wiewiórka żywo. — Widzisz, uzbierałam ich dużo w jesieni, schowałam w dziupłę drzewa i teraz po jednym sobie na obiad zajadam. Gdybym była wszystkie, którem wówczas znieść mogła, pozjadała, a słowo honoru ci daję, były bardzo smaczne, dziśbym z głodu musiała zdychać. Zróbże i ty tak, gdy sobie czego uzbierasz, zostaw trochę na jutro.

Dobra to bardzo była nauka i sierotka pomyślał, że się jednak dużo od ptaków i stworzeń można nauczyć, gdy się do nich przybliży.

Ponieważ pani jesteś taka rozumna i przezorna — rzekł — czy nie byłabyś łaskawa trochę mi drogi do miasteczka pokazać?

— Ja nie mogę — odpowiedziała wiewiórka — boby mnie tam ludzie mogli złapać i albo do klatki wsadzić, a kazać wiekuiście nudne kółko obracać, albo by się połakomili na mój ogon dla złotników i malarzy... ale niedaleko widzę sroczkę, która przywykła latać wszędzie i wywijać się z biedy. Jest to usłużne stworzenie, przytem paplać lubi; ona ci drogę pokaże, a nawet przeprowadzić gotowa, gdy grzecznie poprosisz.

Wistocie, niedaleko siedziała sobie na gałązce sroka i krzyczała deklamując jakiś bałamutny wierszyk, ułożony przeciwko wronom, przez starego kruka... Nie zlekła się bynajmniej nadchodzącego chłopca, i deklamowała sobie dalej i śmiała się serdecznie.

— Moja dobrodziejko — rzekł chłopiec, poczynając.

— Ale już mi ty nic nie mów — przerwała sroczka — ja wszystko wiem, i rozmowę z wróblem podслуchałam i historię jastrzębia widziałam i wiem, coś gadał z wiewiórką... Miasto niedaleko za moim ogonem... ścieżka do niego prowadzi bita... Zresztą ja tam także mam interesa moje i zaraz polecę, to cię zaprowadzę. Ale co ty tam robić będziesz?

— Wróbel mi mówił, że pracować trzeba...

— Wróbel, jakkolwiek mały i niechlujny, nie jest głupi — zawołała jejmość w czarnym płaszczyku. — No, cóż ty robić będziesz?...

Chłopak podumał, pod nogami miał pełno białego pięknego piasku, suchego i czystego; przyszło mu na myśl, że w mieście nim ulice i dziedzińce wysypują... począł więc zgarniać piasek biały do torebki, która mu po matce jako jedyna spuścizna została, a sroka deklamując przypatrywała mu się.

Gdy torebka była pełną, poczęła lecieć przed nim nakrzykując, aż z za brzoź i sośniny pokazały się wieże miasteczka, kościoły i mury — i sierota przeżegnał się z jakiegoś strachu... który go na ten widok ogarnął... Ale sroka była tak wesoła, że i jemu się lżej na sercu zrobiło, patrząc na nią.

— Kiedy ona się tak trzepocze, spokojna o siebie, czemu bym nie miał Panu Bogu zaufać? — rzekł w duchu.

I czapkę na bakier włożywszy, wszedł za sroką do miasteczka.

A co mu się tu przytrafiło i jakich nauczycieli tu spostrzegł, to wam może drugą razą opowiem.

Drezno, 3 maja 1865.

II

Już w samej miejskiej bramie hałas i wrzawa były tak wielkie, w porównaniu z ciszą pól wiejskich, że chłopak, nienawykły do tłumy i ścisłu, stanął zatrwożony, namyślając się, czy iść dalej, czy nie; wątpił bowiem, czy sobie radę dać potrafi. Oglądał się na wszystkie strony ciekawie, — wszystko oczy wabiło, mnóstwo było rzeczy pięknych i dziwnych

bardzo, — ludzi tłumy, gwar nieznośny, — wszyscy zdawali się śpieszyć, pędzić, lecieć zdyszani... W pierwszej chwili chłopak myślał, że trafił tak na chwilowy zamęt, który mógłby przeczekać, i zatrzymał się nieco — ale wkrótce przekonał się, że to, co mu się zdawało przypadkowym, było zwyczajnem i powszedniem.

Zdziwiło go między innymi i to, że na niego nikt ani spojrział, że popychano go wprawdzie i o mało nie obalono, ale żywa dusza nie spytała, skąd szedł, po co przychodził?... Wprędce też przekonał się, że tu sobie samemu rady dawać potrzeba, na nikogo się nie spuszczać, nic nie wyglądać od ludzi, a przebojem trochę pchać się dalej. Chwilę tylko przystanąwszy, uważał, że powoli go szturgając zsunięto prawie do rowu, bo się nie opierał; ale gdy się zwolna bronić począł łokciami, ludzie mu się ustąpili.

Srocza, która go przyprowadziła do miasta, mając swoje interesa zapewne, natychmiast znikła — chłopak był sam jeden... Jakimś instynktem więcej się jego oczy zwracały zawsze na zwierzęta niż na ludzi i tych jakoś mniej rozumiał, że stworzeniami zaś bożemi dzieciak sierota był jak z najbliższymi krewnymi. — Czuł, że doskonale ich pojmuje, a mniej się obawiać ma potrzeby.

Jednak tu w mieście nawet zwierzęta inaczej wyglądały. Oprócz srok i wróbli brudnych, okopconych, z poobijanymi skrzydłami i wyglądających na strasznie rozpustną zgraję, nie widać było swobodnego stworzenia — ale za to na posługach ludzkich mnóstwo; tym chociaż się działo niezgorzej i dosyć koło nich było porządnie, ale z cywilizowanymi chłopak mniej dobrze się rozumiał. Nawet tuczone wieprze, które na rzeź pędzono do miasta, tak były dumne, zarozumiałe i zajęte jakimiś ważnymi sprawami, że do chłopaka gadać nie chciały. Postrzegł także stado owiec poznaczonych na bokach czerwono, ale te biegly strwożone i beczwały tylko: nieszczęście! nieszczęście! zginęliśmy! ratujcie! czy niema którejdy uciekać? Straciły zupełnie przytomność biedaczki.

Koniom potrzeba się było ustępować, bo leciały jak szalone, strojne w brzękadła, we wstążki, w kółka, nawet w kwiaty, a tak się sobą zalotnie chępiły, tak były dumne, tak pewne siebie, jakby ten świat miejski do nich należał.

Postrzegł chłopiec, że wistocie konie odgrywały tu rolę niepospolitą, że były pieszczone i utuczone, a niektóre z nich daleko pyszniej były odziane, niż wielu ubogich ludzi, — zawyrokował więc sobie w duchu, iż lepiejby było dla niego stokroć, żeby się koniem urodził — i westchnął.

Wtem poczuł, że go coś trąciło w ramię.

Obrócił się i postrzegł za sobą straszliwą szkapę, wprzężoną do beczki. — Konisko owo stało z głową spuszczoną i zdawało się uśmiechać do chłopca, którego myśl widocznie odgadło.

— Spójrzyjże na mnie — rzekł mu inwalid, który jedną nogę zgrubiałą miał i kulął na nią okropnie... — Byłem to i ja niegdyś faworytem, pieszczochem, biegusem owym karmionym i głaskanym; nakrywano mnie dywdykami, jadłem w marmurowym żłobie — ale gdym nogę złamał i zostałem kaleką, wszystko się to skończyło. Litościwy pan chciał mi w łeb strzelić z początku — ktoś mnie wyprosił i sprzedano podkurowanego żydkowi, który wodę wozi.

— Moje dziecko — dodał siwy woziwoda — na świecie nic darmo, na wszystko pracować, wszystko zdobyć trzeba, a na litość i serce rachować jak najmniej... Z litości pałą w łeb, abys im swoją męczarnią nie robił przykrości. Ci, co teraz chodzą pod dywdykami, skończą jak ja w żydowskim wozie, jeśli ich ochwat albo nosacizna z tego świata w lepszy nie wyprawi...

Chłopczyk słuchał z uwagą, gdy tuż spostrzegł o kilka kroków mocno obładowany wózek, osiołkiem małym zaprzężony. Właściciel wozu i osiołka bił niemiłosiernie kijem długouchego, który nie zważając na to stał w miejscu i zdawał się tylko trochę nudzić tem niegrzecznem na grzbiet jego naleganiem.

— Czego on się tak tłucze? — spytał chłopiec osła.

— Bo głupi... — odpowiedział poważnie osioł — ale ja mam skórę twardą i uczyłem się filozofii w Padwie; nic na to nie zważam. Nie pociągnę ciężaru nad siły. Chłopisko się zmęczy i albo mi ulży, albo drugiego doprzęże. Uważaj tylko, jak znoszę cierpliwie, myśląc o czem innym. Nic mi nie zrobi... boki będą trochę bolały, ale się nie poderwę. Gdybym się tylko zniecierpliwił, tobym się musiał zaciągnąć i zdechnąć, a tego sobie nie życzę. Należę do stoików... człowiek się zmęczy, a ja na swoim postawię, — jeszcze go może,

niby przypadkiem, poczęstuję tylnymi nogami, gdy się zbliży... Trochę jestem głodny — dodał — i radbym powrócić do domu, ale ciężar nad siły... wołę przecierpieć...

To mówiąc osioł ziewnął, obejrzał się; — chłop klnąc, kij złamawszy, wóz sam popychać zaczął. — Pojechali.

— Koniec końcem — rzekł chłopiec w duchu — że tu trzeba myśleć o sobie samemu i twardą mieć skórę.

Morał ten wyciągnąwszy z osła, przypomniał sobie, że ma piasek w torebce, który do miasta przyniósł; ale jak tu go sprzedać? Jeść się też chce poczyną.

Wtem drugi, taki niemal odarty jak on, chłopaczek minął go wołając: piasku białego, piasku białego! Nasz podróżny trzymał swą torebkę milczący. Wtem zbliżyła się kobieta do pierwszego z piaskiem przekupnia i targować zaczęła. Dostała za swoją torebkę pół złotego.

Dowiedziawszy się ceny i on też począł wywoływać: piasku białego!... Ale nikt jakoś na jego wołanie uwagi nie zwracał. Poszedł więc dalej nieco. Kobieta niemłoda z dzieckiem na rękę zastąpiła mu drogę i spojrzała nań litościwie.

— Co chcesz za ten piasek? — spytała.

— Widziałem — rzekł chłopiec bojaźliwie — że za mniejszy woreczek zapłacono pół złotka.

— A tyś to skąd? czy to nie wiesz ceny?

— Nie, jam dopiero pierwszy raz przywłókl się do miasta.

— Cóżes ty za jeden?

— Sierota...

Kobieta przycisnęła do piersi dziecię, które trzymała na rękę, lza się jej zakręciła w oku, dobyła z kieszeni dwie dziesiątki i kazała piasek wysypać w sieni dworku. Chłopak zrobił to bardzo zręcznie, kupkę ułożył i pocałował ją w rękę.

— Patrzajże — rzekła kobieta — nie zmarnuj grosza... niech cię Bóg błogosławi, biedaku.

Znalazłszy trochę litości w sercu ludzkim, chłopak się zadziwił, ale pomyślał, że w tym świecie ludzi jakoś lepiej być musi niż u zwierząt. Śmielej tedy wyszedł z sieni. W progu spostrzegł chłopaka, który był tylko co piasek sprzedawał także, i ciekawie patrzył na niego. Chłopak miejski miał straszną minę urwipołcia, podobny był do obitego i zakopconego wróbla miejskiego.

— A coś ty zarobił? he? dwie dziesiątki? — spytał go chłopiec — głupi babsztyl, że ci tak drogo zapłacił, za to, że masz minę biedną... Chcesz ze mną zagrać?

— Jakto zagrać?

— Ja mam także dwie dziesiątki, spróbujemy szczęścia, rzucim je do góry... Jeśli dziesiątka padnie na litery, to twoja; jak na orła, to moja. Będziesz miał cztery dziesiątki zamiast jednej.

— A jak przegram! — rzekł chłopak.

— To nie będziesz miał żadnej — odparł śmiejąc się drugi.

— A na cóż ja mam grać i także twoje odbierać?

Wtem gdy rozmawiali, chude psisko trąciło w nogę naszego biedaka. Ten się odwrócił, a pies mu mruknął: »nie graj, a idź dalej; coś zarobił, to twoje, a cobyś wygrał, byłoby wydarte drugiemu«.

— Nie chcę grać — rzekł, ostrożnie tuląc dziesiątki, posłuchawszy psa, chłopiec.

— A gdzie ty idziesz? — zapytał pierwszy.

— Idę szukać schronienia...

— Cóż to ty nie masz nikogo?

— Nikogo.

— Toś ty nie tutejszy?

— A nie.

— A kroćset dyabłów — zakrzyczał chłopak — a co ty tu będziesz piasek przedawał na cudzych śmieciach, przybłądo jakiś... dam ja ci tu!...

I porwał się na niego z pięściami. Ten w krzyk.

Szczęściem gospodyni, co piasek kupiła, wybiegła na ratunek, ale go obroniła od guza tylko, bo dwie dziesiątki wyrwawszy, napastnik drapnął, i byłby z pewnością szczęśliwie

uszedł sobie, gdyby stary ów pies za siermiężkę go nie schwycił. Tuż i ludzie nadbiegali na hałas. Chłopiec przypomniał sobie naukę, że się samemu ratować potrzeba, pośpieszył za psem, przyduśił złodzieja i dziesiątki mu wydarł. Ponieważ już się ludzie kupili, a kobieta, co patrzyła na wypadek, nadchodziła i młody rozpustnik nie miał nadziei obronienia się kłamstwem, rzuciwszy dziesiątki ze strachu wszystkie razem, uciekł.

Tak tedy nietylko strata była odzyskana, ale piętnaście groszy czystego zarobku. Chłopak jednak pomiarkował, że ich także nie powinien był sobie przywłaszczyć.

Zaczęli go ludzie i owa kobieta z dzieckiem rozpytywać, jak to było. Opowiedział otwarcie, co go spotkało, dodając, że tych cudzych piętnastu groszy brać nie myśli, to tylko nie wie, co z niemi zrobić — komu je oddać...

Bardzo się to wydało uczciwym wszystkim, szczególnie kobiecie, która go pogłaskała po głowie i rzekła:

— Dobrze zaczynasz, to cię Pan Bóg pobłogosławi. Ja znam matkę tego urwisza Franka, zostaw pieniądze u mnie, weźmie on za swoje łotrństwo dobre cięgi. A ponieważ jesteś taki pocziwy — dodała — pamiętajże ten dom; jeśli ci będzie chłodno i głodno, przyjdiesz się tu zagrzać i posilić.

Na tem się pierwsza miejska awantura skończyła.

Chłopiec powoli, ale ostrożny, poszedł dalej. Obejrzał się, — stary pies szedł za nim i ruszał ogonem. Z początku zdaleka się suwał, potem bliżej, nareszcie począł go wyprzedzać i zaglądać mu w oczy.

— Czego ty chcesz ode mnie? — spytał chłopiec.

— No nic... ja cię przeprowadzam — odpowiedział pies — byłem niegdyś przyjacielem twego ojca...

— Znałeś go?

— O! o! długie lata chodziliśmy razem — ale to smutna historia... Pies się przywiązuje... żał mi cię, nieboraku sieroto... pójdę z tobą.

Towarzysz ten bardzo się przydał chłopcu, który mu był rad i pogłaskał go. Burek polizał go po rękę, i skacząc pobiegł przodem.

Tak idąc ulicą przyszli do straganów. I pies i chłopiec się zatrzymał, tyle w nich było dla głodnych ponęty. Bułki białe, pozłacane po wierzchu, obwarzanki zarumienione, kielbaski pachnące, serki białe... Do najpierwszej przekupki przyszedłszy, rozmyślał dzieciak co kupić. Pies mu w oczy patrzył...

— Jesteś głodny? — spytał.

— Bardzo.

— Nie masz dużo pieniędzy?

— A nie, — dwie dziesiątki.

— Kup, co tańsze — dodał doświadczony Burek — nakarmi się człowiek byle czem, aby żył; a jak zje grosz na łakocie, gorszy potem głód trapi, gdy nic niema w kieszeni.

— I tyś głodny? — spytał dzieciak.

— No, ja do tego przywykłem — westchnął stary — na mnie nie zważaj; ja w rynsztokach się żywię.

Pogłaskawszy psa, kupił tedy bułkę i kawałtka sera do niej, aby go zbyt nie dławila, — potem we dwóch ze psem poszli sobie pod balustradę ogrodu na kamień i chłopak jeść zaczął. Pies się nie napierał i myślał o czem innym, ale widać było, że mu ślina do gęby ciekła. Zlitował się nad nim dzieciak i dał mu chleba. Staruszek ceremoniował się trochę, zrazu nie chciał tknąć, ale głód, głód wszechmogący go zmienił; pożarł skórkę i polizał rękę.

— Teraz tyś pewnie zmęczony, kładnij się i śpij — rzekł pies — ja cię będę pilnował.

Smaczno i spokojnie pod tą strażą usnął sobie chłopczyk w najlepsze, i przespał tak sam nie wiedział ile godzin, nie przebudzając się nawet. Zbudził się dopiero, gdy mu wschodzące nazajutrz słońce powieki zapiekło. Towarzysz jego czujny już siedział, ziewając i wyciągając się i powitał go ruszając ogonem i liżąc po rękach.

— A co? — rzekł — pora do roboty.

— Do roboty? — spytał chłopak — aleć to ja jeszcze na dziś mam za co chleba sobie kupić i tobie.

— To prawda — odpowiedział stary Burek — ale na tem nie dosyć; nie wówczas pracować, kiedy już głód dokucza... Trzeba mieć zapas.

Chłopak przypomniał sobie wiewiórkę i wstał żywo.

— Cóż tu zrobić? chyba znów piasku przyniosę! — pomyślał sobie — bo na co ja się komu przydam?

I zabierał się już iść, gdy wczorajsza kobieta zobaczyła go i zawołała. Szła ona na targ. Kazała mu za sobą nieść koszyki; jednego z nich podjął się pies.

— Będiesz miał śniadanie — rzekła — i ty i twój przyjaciel Burek, który zrozumiał, ogonem poruszał.

Zarobili więc sobie na śniadanie bezpłatne, a kobieta jeszcze chłopaka jako uczciwego poleciała starej przekupce, która mu więcej dała roboty i obiecała złotówkę całą. Szło więc jak z płatka.

Około południa miał chłopiec chwilę spoczynku i siadł pod balustradą ogrodową. W ogrodzie chodził paw z roztoczonym ogonem i niezmiernie się sobą pysznił. Chłopak, który nigdy podobnego ptaka nie widział, bardzo mu się dziwował i ledwie nie uklonił, ale pies go zatrzymał.

— Dałbyś pokój... — rzekł — to próżny i nadęty darmozjad, którego nikt nie lubi; dąć się tylko umie — głos ma brzydki, a chowają go tylko dla osobliwości, bo się na nic nie zdał. Ledwie pióro z jego ogona za czapkę sobie kto wetknie. Jeśli już chcesz ptastwu się dziwować, czemu się nie przypatrzysz oto tej jaskółce, która tam lepi gniazdko pod cieniem.

Wistocie chłopiec spostrzegł pracowitą ptaszynę, która się zwijała nieustannie, nosząc w dziobku potrosze słomy i mokrej ziemi, z których lepiała bardzo foremne gniazdko.

— Kto też to ją tego nauczył? — pomyślał sobie w duchu.

Jakby myśl jego odgadła jaskółeczka, przyleciała blisko i siadła odpocząć.

— Moja ty śliczna — zapytał chłopiec — kto to ciebie tego majsterstwa nauczył?

— A naprzód Pan Bóg — rzekła — a potem rodzice, matusia i tatuś; widzieliśmy, jak trochę poszkodzone gniazdo poprawiali... przyszła i na nas kolej pracy...

Spojrzała jaskółka, zatrzepotała skrzydłami i krzyknęła. Zobaczyła w tej chwili łajdaka wróbla, który korzystając z jej nieobecności, wpadł do jeszcze niedokończonego gniazdarka i w niem się uposażył gwałtem.

— O ja nieszczęśliwa! — zawołała — siostry i bracia, ratujcie!

Ledwo to rzekła, zebrała się ćma jaskółek i wszystkie niosąc potrosze błota, w mgnieniu oka zamurowały w gnieździe złodzieja, który próżno się szamocząc, zadusił się w niem i zdechł.

Chłopak zaczął dumać... Co tu w tem wszystkim było nauki dla niego... Jaskółka go naprowadziła na tę drogę, że trzeba było uczyć się od ludzi jakiego rzemiosła, potem los wróbla mu powiedział, że złym się nigdy nie powodzi.

— Bardzo to są rozumne stworzenia! — mówił sobie w duszy chłopak — a przecież słyszałem nieraz, że przezywano człowieka: »to zwierzę, to bydło«, ale widać, że się im nikt zbliżka nie przypatrzył. Tak małe to a takie mądre...

Pies, jakby go odgadł, choć tylko patrzył mu w oczy.

— Spójrzyjże no jeszcze za płot — rzekł — a tam coś także ciekawego zobaczysz.

Za płotem stały ule, około nich, strach... co się pszczoł uwijało i kręciło. Jedne nosiły miód, drugie wosk, te wlatywały, te wylatywały; czynność była niezmierna: ruch, gwar, jak zwyczajnie w ulu. Ponieważ ule były szklane, chłopak mógł się dobrze przypatrzeć robocie jeszcze misterniejszej, niż gniazdko jaskółki, komórkom woskowym, jedna w drugą poustawianym, jakby od cyrkla, i złotemu miodowi, który się w nich świecił.

— Jeszcze im człowiek dużo z tego dla siebie odbierze — rzekł pies — a na zimę będzie dosyć; takie to skrzętne stworzenie.

— Cóż to dopiero, gdyby człowiek ze swoim rozumem chciał tak pracować jak one! — rzekł sobie chłopiec.

Wstał i otucha wielka przejęła mu serce.

— Chodźmy, Burku! damy sobie rady.

I poszli...

1866.

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/nauczyciele-sieroty/>

Tekst opracowany na podstawie: Józef Ignacy Kraszewski, *W oknie, Nauczyciele sieroty*, nakł. Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1907.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: [ajari@Flickr](https://www.flickr.com/photos/ajari/), CC BY 2.0

ISBN 978-83-288-0450-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając **zbiórkę na stronie wolnelektury.pl**.

Przekaż darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.